DWUTYGODNIK POLITYCZNY

RZECZPOSPOLITA

Nr. 20.] SOBOTA 27. LISTOPADA 1909. [Rocznie.....10 K (4 Rb., 8 Mk. Półrocznie 5 K (2 Rb., 4 Mk.

W Austryi i w Kole Polskiem.

Austrya próżnuje. Próżnuje jej rząd i próżnuje przedewszystkiem jej parlament. We wszystkich państwach ciała ustawodawcze pracowały w ostatnich latach bardzo żywo i skrzętnie nie tylko nad porządnem załatwieniem budżetu, ale także nad licznemi reformami, między któremi niebrak bardzo doniosłych: np. nowa ustawa finansowa w Niemczech, podatek osobisto-dochodowy i zabezpieczenie ludności roboczej na starość we Francyi, agrarne, szkolne i finansowe przedłożenia w Anglii. W Austryi inaczej: nawet budżety 1908 i 1909 załatwiono niejako z łaski stronnictw i jak na wulkanie, a na rok 1910 ograniczono marzenia już tylko na uchwalenie prowizoryum budżetowego i to piorunem w ostatnich tygodniach roku. Ustaw ważniejszych, czy to gospodarczych, czy społecznych, czy politycznych, nie przyniosła obecna kadencya (1907—1909) żadnych. W życiu gospodarczem robi się w Austryi coraz ciaśniej, gdyż rosną podatki i wzmaga się drożyzna życia, a nie rośnie wcale w odpowiednim stosunku ogólne bogatwo krajów i ludności, dla którego podniesienia ani rząd ani parlament nic pokaźniejszego nie robią. W życiu politycznem i narodowościowem zadawnione boleści tylko się wzmagają, na co rząd i parlament patrzą jakby obojętnie a w każdym razie tępo i bezradnie. Mówiono dawniej o Austryi z zazdrością: *alii bella gerant*. Dzisiejsze próżniactwo wymaga nowej dewizy: *alii leges ferant*.

W Austryi najwidoczniej niema ludzi. Niema szerszej myśli i niema pędu do pracy ani w ministeryach ani w parlamencie. Typ człowieka politycznego w Austryi, żyjącego z dnia na dzień i czekającego co się też stanie, odbija bardzo rażąco od ruchliwego parlamentarzysty n. p. francuskiego w lepszych okazach lub od zachodniego administratora, szukającego z zamiłowaniem nowych dróg. Mówiono w ostatnich czasach o gotującym się przełomie. Że w gabinetach ministeryalnych siedzą przeważnie zacni urzędnicy, którzy bardzo sumiennie a zazwyczaj bardzo inteligentnie załatwiają sprawy bieżące, że jednak nie tłuką się tam prometejskie rozpędy i nie wychodzą stamtąd nowe myśli, to było wiadome i z tej strony nikt nie oczekiwał jutrzenki. Lecz jakież to szumne były zapowiedzi i jakie świetne wróżby o nowym parlamencie, wybranym po reformie wyborczej! Miała ona wydobyć na powierzchnię uciśnione geniusze społeczne, odsuwane talenty polityczne. Tymczasem do nowego parlamentu, na szerszej niż dawniej fali, wpłynęło przedewszystkiem mnóstwo nieuków i nierobów, ludzi taniej agitacyi i banalnego frazesu, na niczem się nie rozumiejących, nie obeznanych należycie nawet z dzisiejszym faktycznym i prawnym stanem spraw, a już zupełnie niezdolnych do jakiejś poważnej inicyatywy ustawodawczej i wogóle, jako środowisko, niepodatnych dla myśli twórczej. Większe niż poprzednicy zrozumienie okazują nowi posłowie tylko dla dyet poselskich, stanowiących obecnie jedyną w ręku rządu busolę wśród burz parlamentarnych.

Koło Polskie, wśród tych niepomyślnych okoliczności, rade by przyczynić się do złagodzenia sporu niemiecko-słowiańskiego oraz do uzdrowienia życia parlamentarnego. Są to zadania bardzo trudne i pod względem politycznym wcale nie jasne, o ile się myśli o przyszłości.

*

W sporze niemiecko-słowiańskim Koło Polskie ma za sobą kilkudziesięcioletnią tradycyę i płynące z niej doświadczenie. Tradycya ta głosi, że przeciw Niemcom nie można rządzić w Austyi i że nie może być dążeniem ani polskiem ani innych narodów słowiańskich, aby Niemcy austryaccy, zatrwożeni, stali się wszechniemcami. Tradycya ta zawiera zarazem karty szczerego popierania dążeń słowiańskich do równouprawnienia, dążeń zupełnie słusznych, przez Polaków bronionych stale, a czasem w sposób tak pamiętny jak za czasów Kazimierza Badeniego, gdyż niema najmniejszej wątpliwości, że sztuczne utrzymywanie w Austryi rządów i przywilejów niemieckich ponad miarę, a spychanie na dół narodów słowiańskich, wcale nie może być zasadą naszej polityki.

W chwili obecnej Koło Polskie, wierne swej tradycyi, musi pamiętać i oczywiście pamięta o obu jej wskazówkach.

Współpracownictwa z obozem niemieckim, szczególnie zaś z bardzo poważnem stronnictwem chrześcijańsko-społecznem, najsilniejszem dzisiaj, a zupełnie stanowczo odrzucającem sympatye pruskie, Koło Polskie zarzekać się nie może.

Niemniej pilnie jednak baczyć musi Koło Polskie, aby w Autryi nie wzmagały się siły niemieckie krzywdą narodów słowiańskich. Ostatnie czasy nie są pod tym względem zupełnie bezpieczne. Niemcom w Austryi zrobiło się niewątpliwie nazbyt raźno od chwili gdy serdeczność przymierza Austryi z Niemcami odegrała się z powodu usług oddanych przy aneksyi Bośni i Hercogowiny. „Nasz stosunek

do Niemiec jest miarodajny dla naszej polityki narodowościowej“ pisała niedawno z całą otwartością *Zeit*.. Istotnie humory niemieckie podniosły się w Austryi. Wiemy coś o tem już i w naszym kraju, bo tutejszy *Bund*, w deputacyi do władz krajowych, zgłosił żądania Niemców w Galicyi, a równocześnie *Ostdeutsche Rundschau* zaczyna znowu uważać kraj nasz za jedną z marchij wschodnich i domaga się dla przedniej straży germańskiej narazie czterech mandatów sejmowych; zaś korespondencya w *Fremdenblatt'cie*, organie ministerstwa spraw zagranicznych, o pomyślnej deputacyi niemieckiej u p. namiestnika wygląda na publiczne zadokumentowanie Berlinowi, że robi się tu to, co sojusznikom miłe. Więcej rozgłosu miała sankcya ustaw sejmowych czterech niemieckich krajów koronnych o wyłącznie niemieckim języku wykładowym seminaryów nauczycielskich, utrudniająca byt szkół ludowych nie-niemieckich, wtych krajach, co mimochodem dotyka dosyć boleśnie polską ludność w Wiedniu, a co jest klęską dla bardzo licznej ludności czeskiej w Wiedniu i okolicy. Niemcy w swoich krajach koronnych gniotą mniejszości słowiańskie, a dla siebie żądają wszędzie równouprawnienia.

Koło Polskie musi przeto bardzo ostrożnie postępować, aby pracując z Niemcami, co jest polityczną koniecznością, nie pracowało dla Niemców, co nie może być jego celem.

*

Uzdrowienie życia parlamentarnego jest od dłuższego czasu główną troska Koła Polskiego. Współpracuje ono w tym kierunku z rządem. Niepodobna jednak uchronić się od obaw, że dążenia rządu i dążenia Koła Polskiego w tej sprawie nie są wcale takie same.

Koło Polskie zawsze było tego zdania, że parlamentu się nie uzdrowi, jeżeli się nie zmieni obecnego anarchicznego regulaminu, oddającego całą Izbę na łaskę i niełaskę jakiejkolwiek małej grupie posłów. Tymczasem rząd wcale się nie kwapi z dążeniem do zmiany regulaminu: nie przeprowadził jej przy znakomitej sposobności, jaką była reforma wyborcza, nie myśli o niej i teraz, chociaż nie tylko uchwalenie parlamentarne nowego regulaminu ale nawet narzucenie go z góry byłoby przez wszystkie zdrowe czynniki w państwie przyjęte przychylnie. Ma się tedy wrażenie, że Koło Polskie chciałoby, aby parlament był zawsze zdrów i zawsze zdolny do pracy, rząd zaś woli, aby nosił on w sobie ciągłą chorobę usypianą od czasu do czasu, gdy rządowi parlament jest potrzebny, a na nowo rozbudzoną, gdy jest mu on raczej zbędny.

Nadto, wedle pojęć Koła Polskiego, parlament centralny nie dojdzie do ładu, jeżeli zadań jego nie ograniczy się do spraw rzeczywiście wspólnych, oddając ustawodawstwu krajów wszystko, co każdy kraj sam dla siebie może i powinien załatwiać w Sejmie przy odpowiedniem rozszerzeniu autonomii. Rząd zaś wprost przeciwnie, jeśli na co pragnie uzdrowienia lub raczej pozorów uzdrowienia parlamentu, to na to, aby przeciwstawić go sejmom i pod jego osłoną wzmacniać i utrwalać centralizm przeciw dążeniom autonomicznym.

Otóż, jak dotąd, Koło Polskie poprzestawać musi na uzdrawianiu parlamentu wedle reguły raczej rządowej niż swojej własnej: uzdrawia go bowiem tylko wtedy, gdy rządowi nie jest to niedogodne, uzdrawia go chwilowo, bo bez zmiany regulaminu, uzdrawia go wreszcie nie dla przeprowadzenia programu autonomicznego lecz pod hasłami parlamentaryzmu centralnego.

Ale Kołu Polskiemu przyświeca zapewne w tych żmudnych usiłowaniach myśl, że powoli przyjdzie czas na wysunięcie własnego programu uzdrowienia życia parlamentarnego i uzdrowienia całego ustroju państwa.

Wspomnienie o Tadeuszu Skałkowskim

z czasu studyów uniwersyteckich.

(Ciąg dalszy).

Jeśli wynikiem wielkich haseł „iść w lud, wytworzyć siłę dla prawa“, miało być w najlepszym razie spropagowanie i unarodowienie kilku uczni preparandy, to trzeba było skonstatować zupełne nieudanie się akcyi. Przedstawiliśmy wątpliwości nasze Kołu akademickiemu, które je uznało, ale poradzić nie mogło i nie umiało. Polecono nam wykłady prowadzić dalej. Trwały te wykłady zwyż dwa lata. Komisya z czterech, której te czynności powierzono, miała wiele zachodów i pracy. Trzeba było przygotowywać wykłady, starać się o słuchaczy i prelegentów, wyszukać odpowiednie mieszkanie — myśleć o wszystkiem, nawet o dostatecznej ilości krzesełek dla słuchaczy — o co w mieszkaniach studenckich nie było łatwo. Zbieraliśmy się trzy do czterech razy w tygodniu dla załatwienia poruczonych nam spraw. A potem nieraz do późnej nocy toczyły się rozprawy o politycznem położeniu narodu, o potrzebnych i koniecznych pracach, o szukaniu i dobieraniu dróg, któremi moglibyśmy się zbliżyć do naszych ideałów narodowych. To były „górne chwile“ naszych akademickich czasów, a zacieśniły tak silnie węzły przyjaźni naszej, że już je żadne późniejsze burzę życiowe zerwać nie zdołały. Bo też nic tak ludzi nie łączy i nie spaja, jak wspólna służba i wspólna praca dla ukochanych ideałów. Nie mieliśmy wkrótce żadnych złudzeń co do wyników, jakie można było osiągnąć z wykładów dla uczni preparandy. Tą drogą ani do oświaty — ani do unarodowienia ludu dojść nie można. To też Tadeusz Skałkowski podniósł myśl utworzenia oddzielnego „koła oświaty ludowej“. Koło to miało być całkiem niezależne od Koła akademickiego, i składać się nie tylko ze studentów uniwersytetu, ale także z osób starszych, o ile przekonania nasze podzielają i współdziałać z nami by chcieli, Komisya, składająca się z nas czterech, miała być zawiązkiem przyszłego Koła ludowego. O tem naszem postanowieniu powiadomiliśmy Koło akademickie, które się na nasz plan zgodziło. Na dalszych zebraniach zastanawialiśmy się, kogo przyjąć do współdziałania w Kole ludowem i jaki ułożyć program pracy. W chwili rozpoczęcia czynności Koło ludowe

liczyło 12. członków. Do Koła należeli: Hirschberg Aleksander, Skałkowski Tadeusz, Kosiatkiewicz Władysław, Rayski Albin, Okaz Kazimierz, Mika Aleksander, Bartmann Stanisław, Dulęba Bronisław, Zbrożek Piotr, studenci uniwersytetu, Szemberski Mieczysław, Pawłowski Karol, urzędnicy bankowi — i Liberat Zajączkowski, były uczeń szkoły sztuk pięknych w Krakowie — a późniejszy redaktor *Szczutka*. Organizacya Koła ludowego była taka jak Koła akademickiego. Każdy wstępujący do Koła składał w ręce przewodniczącego uroczyste przyrzeczenie dochowania tajemnicy i posłuszeństwo zapadłym uchwałom Koła — a dalej zobowiązywał się do płacenia miesięcznej wkładki na potrzeby Koła — którego wysokość sam oznaczał. Zapisków żadnych nie prowadzono — tylko skarbnik obowiązany był przychód i rozchód notować i na początku każdego zebrania przedkładać stan kasy. Zadaniem Koła ludowego było drukowanie i rozsprzedawanie dziełek tanich pisanych w duchu polskim, a zastosowanych do pojęć ludowych. Jak to robić aby był widoczny skutek — nad tem odbyliśmy kilka długich, a gorących dyskusyi. W Kole mieliśmy dwóch synów chłopskich, Kazimierza Okaza z okolic Tarnowa i Aleksandra Mikę z pod Nowego Sącza. Twierdzili oni, że w latach 1865—1870 chłop mazurski w swej ogromnej większości nie czuł się Polakiem, umiejących czytać było bardzo mało — a ci, co umieli, uważali czytanie za kosztowną i zbytkowną zabawę. Kupowano tylko książki do nabożeństwa — kantyczkę — kolendy — żywoty Świętych. — Radzili zatem zacząć od drukowania krótkich, tanich Żywotów Świętych polskich, a pod tą etykietą przemycać ważne i doniosłe fakta z dziejów polskich i tym sposobem budzić poczucie narodowości i miłości ziemi ojczystej. Poszliśmy za temi wskazówkami. Uchwała Koła poleciła mnie napisać „Historyę o św. Janie z Dukli“. Skąd się u kolegów wzięło tyle zaufania do mych zdolności pisarskich, istotnie nie wiem. Zdaje się, zawdzięczałem to raczej tej okoliczności, że nie uganiając po lekcyach, ani nie mając ubocznych biurowych zajęć, mogłem tej literackiej pracy poświęcić więcej czasu, jak inni. Uporałem się z robotą dość szybko. Zebrało się Koło, odczytałem manuskrypt, porobiono niektóre poprawki i postanowiono drukować. W kasie mieliśmy zebranych z wielkim trudem 65 zł. Tą kwotą pokryliśmy koszta druku i papier tej pierwszej jednoarkuszowej broszury. Odbito 2.000 egzemplarzy — firmę dała drukarnia Poremby. Na każdym egzemplarzu wydrukowana była cena 4 kr. w. a. — Był to uroczysty i radosny dla nas wszystkich dzień, w którym drukarnia Poremby odesłała do Władka Kosiatkiewicza stosy zadrukowanych arkuszy. Rozumieliśmy, że teraz zaczyna się poważna i celowa robota — wierzyliśmy, że potęga drukowanego słowa przełamie nieufność i ciemnotę ludu, że idąc konsekwentnie tą drogą, dusze i ramiona chłopskie zjednamy służbie polskiej.

Po zapłaceniu drukarni kasa była pusta. Nie było też możności i nadziei zebrania potrzebnej kwoty na zbroszurowanie tej pierwszej książeczki. Robotę tę musieliśmy już sami uskutecznić. Stosując zatem zasadę ekonomiczną o podziale pracy — zbieraliśmy się wieczorami — jeden składał arkusz, drugi szył, trzeci nalepiał kolorowe grzbiety i t. d.; wśród żartów i wesołej pogawędki robota szła żwawo i po kilku wieczorach robota była gotowa. Najważniejszą i najtrudniejszą czynnością była rozsprzedaż, która musiała być tak urządzoną, aby publikacye doszły do rąk chłopskich. Zwykła droga księgarska była z góry wykluczona. Chłop do księgarni nie chodził, a księgarz przy minimalnym rabacie, jaki mogliśmy ofiarować, rozsprzedaży się nie mógł podjąć. Próbowaliśmy sprzedawać przez tak zwanych obraźników, którzy po jarmarkach i odpustach prowadzili handel obrazkami, kantyczkami, szkaplerzami — ale i to nie szło. Później przy pomocy Koła akademickiego urządziliśmy wcale niezły kolportaż naszych wydawnictw przez studentów uniwersytetu.

Robiło się w ten sposób, że studenci rozjeżdżając się na ferye świąteczne, czy też na wakacye, brali po kilkanaście broszurek i na wsi w swej okolicy rozsprzedawali. Tym sposobem nie tylko że dość szybko rozchodził się nakład, ale nawiązywaliśmy z prowincyą stosunki i pomału wyrabiał się stały zastęp pewnych odbiorców, którzy sami się do nas zgłaszali — bądź to żądając informacyi w sprawach oświatowych, bądź też przesyłając nam wskazówki, coby należało drukować i co lud najchętniej czyta. Sieć pracowników oświatowych tworzyła się sama, jeszcze na długo przed założeniem Towarzystw Oświaty i Towarzystwa Szkoły Ludowej. Skoro z rozsprzedaży zebrało się tyle funduszów, że można było wydać drugą broszurkę — napisał Kazimierz Okaz „Żywot świętego Kazimierza“. Dalej drukowano „Święta Kinga“, „Błogosławiona Jadwiga, królowa polska i „Żywot świętego Jacka“. Rozumie się, że były prace lepsze i gorsze; na to jednak wszyscy godziliśmy się, że najwięcej talentu literackiego, najwięcej zacięcia na pisarza ludowego miał Piotr Zbrożek. Jego „Żywot św. Jacka“ podobał się nie tylko nam, ale i ogółowi czytelników tak, że w krótkim czasie zrobiliśmy drugi nakład. Odtąd znaczna część naszych publikacyi była jego pióra, a autor ich dobił się w kraju pewnego, zresztą zasłużonego rozgłosu.

Nie przerywając naszych robót w Kole akademickiem, prowadząc dalej (jednak z mniejszą energią) wykłady dla uczniów preparandy, zajmowaliśmy się gorliwie wydawnictwem ludowem.

Nie rozwijało się ono jednak tak jakbyśmy tego pragnęli, a powodem głównym był brak dostatecznych funduszów. W ciągu roku mogliśmy wydać zaledwie cztery broszurki. — Podług obowiązującej wówczas ustawy prasowej trzeba było powiadomić władzę, kto daje nakład. Obowiązek ten wzięła na siebie drukarnia. Na każdej więc naszej książeczce był umieszczony napis: „Nakładem i drukiem F. Poremby“. Osłaniało to nas i zupełnie zakrywało przed władzą, ale równocześnie dawało całej naszej robocie cechę wyłącznie spekulacyjną. Nikt z publiczności nie mógł wiedzieć i nie wiedział, że to są druki wydawane dla propagandy pewnej myśli, pewnej idei — przeciwnie, nakłady Poremby stawiano

na równi z nakładami Pisza z Bochni, Feitzingera z Cieszyna i im podobnych drukarni, pracujących wyłącznie dla własnego zarobku.

Wiedzieliśmy, że gdyby ktoś poważany w kraju dał firmę naszej robocie — rzecz poszłaby lepiej i raźniej — aleśmy jeszcze o to nikogo nie umieli prosić. Wiedzieliśmy także, że nikt z nas — ani student uniwersytecki — ani były student Szkoły sztuk pięknych — ani mały urzędniczek bankowy nie może firmować. Trzeba zatem było utrzymać status quo, t. j. zadowolić się firmą Poremby. Na razie też tak się stało. (C. d. n.).

A. Rayski.

Stosunek do Rosyi.

Złudzenia wszelkie umiały ulotnić się i minąć jak sen przed twardą i zupełnie jasną rzeczywistością. Złudzenia ukazywały możność jakiej-takiej zgody polsko-rosyjskiej a przynajmniej jakichś swobód narodowych i obywatelskich w Polsce po ogłoszeniu konstytucyi w Rosyi manifestem październikowym 1905. Rzeczywistość lat czterech, które od tego czasu ubiegły, była nieustannem odbieraniem nam, jednej po drugiej, wszystkich tych swobód, które konstytucya wprowadzała. Złudzenia i dobra wola rodziły politykę, opartą na przekonaniu lub przypuszczeniu, że Rosya nada swobody wzamian za lojalne uznanie państwowości rosyjskiej i głosowanie za jej potrzebami, albo że Rosya będzie musiała załatwić sprawę polską, gdy się jej ukaże z jednej strony wspólne niebezpieczeństwo niemieckie a z drugiej strony możność wspólnej pracy na gruncie wszechsłowiańskim. Rzeczywistość pouczyła jeszcze raz, że Rosya woli zapewniać sobie lojalność knutem niż swobodami, że swoje stosunki z Niemcami załatwiać będzie nie przy naszej pomocy ale raczej naszym kosztem, t. j. uciskając nas w myśl życzenia Niemiec, że wreszcie politykę słowiańską potrafi ona prowadzić po swojemu bez zgody z Polakami.

W cztery lata po manifeście konstytucyjnym wróciliśmy powoli, co do swobód narodowych, do stanu rzeczy prawie zupełnie takiego samego, jak przed konstytucyą i jak w ostatnich latach czterdziestu po r. 1863. Zamiast konstytucyi dostaliśmy natychmiast po manifeście stan wojenny a potem wzmocnioną ochronę. Przedstawicielstwo poselskie zniszczono nam krótkim procesem, znosząc zamachem Stanu dwie trzecie mandatów. W szkolnictwie publicznem, ani wyższem ani średniem ani ludowem nie zrobiono najmniejszego ustępstwa, a szkoły prywatne, ściśnięte szykanami, mają życie niepewne. Zamknięte lub zawieszone zostały wszystkie instytucye oświatowe i dobroczynne, powołane do życia po nadaniu konstytucyi: Macierz szkolna, Tow. Wpisów Szkolnych, Związek katolicki Król. P., Oświata kijowska, Oświata mińska, a teraz już wogóle nie pozwala się na zgodne z prawem (z 4 marca 1906) zakładanie towarzystw takich, jak poucza świeża sprawą podania o założenie warszawskiego Tow. oświatowego,

A nawet gorszy stan rzeczy niż było przed konstytucyą i po r. 1863 gotuje obecna działalność ustawodawcza i administracyjna. Rząd postanowił oderwać od Królestwa ziemię Chełmską. Samorząd ziemski dla Litwy i Rusi projektowany jest w takiej postaci, że Polacy delegaci do „Rady do spraw gospodarki lokalnej“ zmuszeni byli złożyć d. 1. listopada b. r. deklaracyę, której treścią jest, że taki samorząd byłby gorszy niż stan obecny. Samorząd miejski dla Królestwa Polskiego już w projekcie rządowym a szczególnie w zmianach wprowadzonych przez „Radę“ nie daje żadnych praw językowi polskiemu i staje się nową placówką rosyjską w Polsce, tak że znowu delegaci polscy musieli d. 11. listopada złożyć deklaracyę protestacyjną.

Nadzieje polskie coraz to były skromniejsze. Z początku przywiązywano je do programu politycznego kadetów, zawierającego autonomię Królestwa Polskiego i wierzono w autonomię. Potem przywiązywano je do programu październikowców i zapewnień p. Guczkowa, że „damy wam co sami mamy“, choć niepewne było czy oznacza to politykę swobód narodowych czy też zupełnego zrównania Polaków z Rosyanami właśnie o tyle, że nic odrębnego, polskiego, nie dostaniemy. Wreszcie oczekiwano co nastąpi po oświadczeniu p. Stołypina, że „autonomii Polakom nie damy, bo nie mamy do nich zaufania, ale samorząd wprowadzimy“ i okazuje się, że ten samorząd może być po prostu nowym sposobem rusyfikacyjnym.

Dzisiaj nikt już nie ma żadnych nadziei. Rosya okazała w ostatnich czterech latach, że jeszcze większe niż myśli historya są zasoby jej cynizmu, obłudy, chytrości, gwałtu. Rosyę uważały wszystkie pokolenia polskie za wroga równie nieprzejednanego jak Prusy a dzikością swą niemniej niebezpiecznego jak Prusy wyrafinowaniem. To przekonanie powróciło.

Jest rzeczą znamienną iż coraz częściej słyszy się głosy, że rachuby polityczne nasze robić trzeba poza Rosyą i przeciw Rosyi.

W rozprawie p. t. „Rzut oka na kwestyę polską w dobie obecnej“ (Kraków, Gebethner 1910) czyta się zdania takie: „W naszem położeniu teraźniejszem winniśmy odrzec się od wszelkich slawizmów, całe nasze sympatye zwrócić ku Austro-Węgrom, gdyż nasz polityczny interes każe nam dążyć do szczerszego zbliżenia z Austro-Węgrami; w unii Austro-węgiersko-polskiej czy w unii węgiersko-polskiej widzieć możemy nasze wybawienie z niewoli i przyszły nasz byt polityczny“ (str. 128). Czyta się tam nawet: „Gdyby Królestwo wpadło jako podarunek w ręce Austro-Węgier, nie tylko w Królestwie ale i w Galicyi odśpiewajmy wtedy radośnie: Te deum laudamus; gdyby nawet Królestwo miało być podarkiem dla Prus, to i wtedy nie sprzeciwiajmy się temu“ (str. 131). Autor tej rozprawy należy widocznie do obozu t. zw. frondy demokratyczno-narodowej w zaborze rosyjskim, która powstała pod hasłem nieprzejednanej polityki wobec Rosyi. Mógłby zatem ktoś sądzić, że jest to głos odosobniony i niemiarodajny. Ale tak nie jest.

Kuryer Poznański kończył przed kilku dniami uwagi swe o sprawie samorządu w sposób następujący: „Jest w tem coś wysoce tragicznego, że największa część ziem naszych jest przykuta do państwowości, która chce pochła-

niać, a nie umie się zdobyć na nic twórczego, która umie tylko niszczyć kulturę i kładzie nieprzebyte tamy samoistnemu rozwojowi społeczeństwa“ (nr. 263 z d. 17. listopada 1909). Jestto jakby pogłos poglądów, o których dużo się mówiło i pisało na kilka lat przed konstytucyą rosyjską. Obóz demokratyczno-narodowy, zwalczając wszelką ugodę z Rosyą, wykazywał wówczas konieczność walki „na dwa fronty“, przeciw Rosyi niemniej silnie niż przeciw Prusom, przeciw Rosyi nawet najsilniej, właśnie z tych powodów, o których zaczyna znowu mówić *Kuryer Poznański*.

Najbardziej bodaj uderzająca jest korespondencya z Warszawy p. t. „Austrofilstwo“ zamieszczona na czele *Dziennika Poznańskiego* z d. 20. listopada b. r. (nr. 265). Wiadomo, że jest to pismo, które w stosunku do Rosyi szło zawsze w pierwszym rzędzie ruchu ugodowego ręka w rękę z *Krajem*. Korespondent warszawski przemawia i dzisiaj niejako od obozu dawnych ugodowców. I czytamy:

„Do Austryi żywimy tradycyjną nieufność i antypatyę. Pamiętamy nazwę i treść rządów Meternichowskich. Nie zapomnieliśmy zgrozy, jaką wywarła rzeź tarnowska. Postępowa część naszego ogółu lekceważyła zawsze prawo i wolności nadane Galicyi; mówiono, iż tam pozwalają nosić konfederatki i śpiewać hymny, więcej nic. Część zachowawcza narodu podejrzywała zawsze Wiedeń o chęć i zamiar wyzyskiwania Polski, wciągnięcia jej do jakiejś intrygi politycznej, a następnie opuszczenia i zdradzenia. Wreszcie widziano zawsze (z dużą przesadą) nędzę Galicyi, więc jej nie zazdroszczono losu; istnieje przeświadczenie, że Polacy są pod względem ekonomicznym ofiarą Austryi. To też ile razy w Rosyi błysnęła jakakolwiek nadzieja lepszego jutra; wszystkie oczy zwracały się w tę stronę z oczekiwaniem i z nadzieją; o Austryi i jej równouprawnieniu narodowem zapominano natychmiast!... Ale to wszystko było!.... Łudziliśmy się, że to tylko rząd taki samolubny; wszystko się zmieni, gdy na scenę dziejową wstąpi sam naród rosyjski. Doczekaliśmy tej chwili. I dziś ją przeklinamy... Wszelkie wieści z Petersburga, z Moskwy, z Odessy, wywołują w nas zawsze myśl: to się przecie musi zawalić, to trwać nie może! I zaraz wyrywa się wykrzyknik: a niech się do dyabła zawali!..... I teraz dopiero, pod wpływem tych wrażeń, rodzić się wśród nas poczyna austrofilstwo“.

Nawet jeżeli się przypuszcza, że jest to ze strony obozu dawnych ugodowców nowy sposób przemawiania do uczuć rosyjskich i niejako ostrzegania Rosyi, pozostaje ten fakt, że i z tego obozu tak się dzisiaj przedstawia uczucia i poglądy społeczeństwa polskiego.

Jedna rzecz wydaje się pewna. Społeczeństwo polskie raz jeszcze w latach ostatnich puściło się na próbę i obecnie, po tem ostatniem doświadczeniu, ugruntowało w sobie przekonanie, że nie trzeba wierzyć w Rosyę i nie trzeba wierzyć Rosyi. I myśląc o przyszłości, sądzi, że, gdy przyjdzie chwila, wszystkiego raczej imać się będzie można, ale nie porozumienia się z Rosyą. *R. P.*

FR. RAWITA GAWROŃSKI.

Żydzi w poezyi ludowej i w historyi ruskiej.

Jawiteś bez masok i duszu pokażite.
P. Kulisz.

(Dokończenie).

II.

Uczucia, myśli, idee, tkwiące w duszy człowieka, muszą koniecznie budzić odblask i uplastycznienie w życiu i w dziejach. Nie będziemy się zastanawiać nad tem jak współczesny chłop ruski zapatruje się na żydów w ogóle. Możnaby ten stosunek scharakteryzować jednem słowem: nienawidzi go. Zawiść, zazdrość, antagonizm rasowy wybuchają codziennie, przy każdem zetknięciu się. Są one żywiołowe; tak samo jak były. Motywy nienawiści są te same. Powstrzymywane są one jedynie siłą państwową, ale bynajmniej nie kulturalnym i cywilizacyjnym stopniem rozwoju społeczeństwa ruskiego.

Jak wyglądał stosunek Kozaczyzny do żydów w historyi, wskazaliśmy to kilkoma słowy, opierając się na pisarzu żydowskim, współczesnym klęskom połowy XVII w. Wracać przeto do tego momentu nie będę. Zatrzymam tylko smutną uwagę czytelnika na okresie, który nastąpił we sto lat przeszło po buntach Chmielnickiego — na hajdamaczyznie. Nie jednokrotnie miałem sposobność zaznaczyć, że nie był to ruch ani polityczny ani społeczny jasny i celowy, ale zwykła swawola państwowa. Zrodziła się ona w sercu, w środowisku wszelkiej swawoli kozackiej, nad Dnieprem, w Czehryńszczyźnie, gdzie jeszcze żywe były tradycye walk Chmielnickiego. Walki te, oprócz osłabienia i zdemoralizowania organizmu ludowego na Rusi, nic nie przyniosły innego. Następstwem tego była niewola i zupełny zanik wszelkiej idei politycznej, samoistnej, samodzielnej w rozdartem wojną domową społeczeństwie ruskiem. Swawola hajdamacka dosięgła szczytu rozbestwienia i dzikości, wynikła dzięki bezsilności państwa polskiego, a skierowana była, jako wrogi wybuch, przeciwko klasom posiadającym. Kto posiadał cokolwiek, bez względu na religię i narodowość, stawał się przedmiotem pożądania, rabunku, przelewu krwi. Posiadanie „sribła i złota“ stało się marzeniem hajdamaczyzny, a żyd tym objektem, jako najsłabszy, najbezbronniejszy, lecz posiadający owe przedmioty marzeń hajdamackich.

Niektórzy historycy rosyjscy, jak Kostomarow, a za nim cała szkoła historyków kijowskich z Antonowiczem, synem Bonifacego, na czele aż do dzisiejszych maniaków, opanowanych obłędem szkolnym, poszła za hasłem politycznem Rosyi — divide et impera. Rosya wie dobrze, że kozaczyzna w jej państwowych granicach XVII w. była żywiołem niesfornym, rozbójnickim, swawolnym — niczem więcej, ale to bynajmniej nie przeszkadzało jej zrobić kozaczyznę historyczną w Rptej polskiej obrońcą religii i mścicielką urojonych „krzywd“— wbrew wszelkiej prawdzie. Otóż z tego źródła wyrosła apoteoza najprzód Chmielnickiego, a potem Żeleźniaka i Gonty. Ze zbójów i rabowników nafabrykowano bohaterów. Nie wszy-

scy historycy ruscy idealizowali te krwawe czasy. W najnowszej dobie dopiero poczęto z jakąś chorobliwą gorączkowością otaczać nimbem męczeństwa rabowników i morderców najpospolitszych. Zatraciło się pojęcie moralności i sprawiedliwości — w historyi i w życiu. Do nawskroś nowożytnego pojęcia idei wolności przystosowano całą historyę Rusi, a ze skarbnicy dziejów ukuto broń polityczną, wyzyskiwaną i używaną, a niekiedy wprost fabrykowaną ad usum — przyjaciół Polski. Wszyscy to widzą, tylko nie ci, którzy są narzędziem nieświadomem w obcem ręku.

Ale to inna sprawa.

Spaczenie poglądów na dzieje Kozaczyzny i Koliszczyzny przechodzi wszelkie pojęcie, przybiera formy fantazyi historycznej, opiera się raczej na wrażeniach niż na faktach, traktowane jest ze strony raczej poetyckiej niż rzeczywistej. Stworzono z tych dziejów poemat: pełen rozhukania się i swobody, wyśpiewany na tle stepów i nieokiełznanej brawury.

Włodzimierz Antonowicz, który wraz z Kostomarowem był twórcą poetyczno - historycznej szkoły kijowskiej, ubrał kozaków i hajdamaków w barwy własnej wyobraźni i narzucił je następcom swoim. Według niego —

Szyrokuju wolu, błyskuczuju sławu
W ony kołyś dobuwały,
Za wolu, za sławu, za myłu rodynu
Wony bujni hołowy kłały.

Bardzo to ładnie, ale — niestety — nieprawdziwie, bo i sam Chmielnicki do końca życia niezbyt dobrze wiedział za co się bił. Raz mówił: walczyłem o kobietę, drugi — o religją, trzeci — o wolność (nikt nie wiedział wszakże o jaką), a w końcu szukając tej wolności, o którą niby walczył — poszedł do Moskwy.

Ten sam Antonowicz nazywał hajdamaków „najwierniejszymi synami„ Ukrainy i utrzymywał że oni to —

— — — — hołowy pokłały
Za krywdu swoho ludu,
Szczob prawdu boronyt ta wolu
Strasznoho ne zlakałyś sudu.

Frazesy poetyckie! smutne świadectwo obłędu politycznego — nic więcej. Jak rozumieli prawdę i wolność — obaczymy.

Maksimowicz powiadał, że hajdamacy uważali rozbój, zbójnictwo jak polowanie („ochotiliś razbojem“). Srežniewski, który sam fabrykował dumy kozackie, nie wahał się nazywać hajdamaków „zbójami leśnymi“, Skalkowski dopatrywał się w nich „piratów lądowych“, nazywał „biczem stepów“. Na skargi krymców o rozboje i łupieże odpowiadano, że „hajdamacy — to hultaje, włóczący się po stepach i oprócz w stepie, nie mający nigdzie przytułku“. Tatarzy nazywali ich „butkały“ — zbieranina hultajska.

A Antonowicz zrobił z nich obrońców „prawdy i woli“.

Typ moralny kozaków i hajdamaków wygląda wcale nie ponętnie według ich własnej charakterystyki, wcale nie tak po rycersku jak u późniejszych apologetów. Rozbój, pijaństwo, swawola, były rakiem niszczącym całą kresową kozaczyznę.

W przystępie oprzytomnienia kozak wykrzykuje z żalem: —

Hej korczmo nasza, korczmo — kniahyne!
Czom w tobi kozaćkoho dobra bohato hyne?
A sama jesy ne oszatno chodysz
I nas kozakiw — netiah, pid słuczaj, bez swytok [wodysz!

O wolność palenia „horiłki“ upominali się zawsze gorąco, a ukrócanie tej ‚wolności“ uważali za „krzywdę“.

Wiadomo przecież, że i sam „bat'ko“ Chmielnicki przetrzeźwiał się rzadko, a nikt go od tej wady nie zdoła obronić.

Nikt silniej nad Kulisza nie wytykał wad własnemu narodowi i jego przewodnikom przewrotnym i nikt potężniejszym głosem nie uderzał w ten gmach samochwalstwa i fałszu, jakiemi udekorowano dzieje kozaczyzny.

Wołał on o lepszą przyszłość dla swego narodu.

Nechaj pokyne was kozaćka wola dyka,
Szczo krowju tiszyłaś, chwałyłaś pożaramy,
Tumanyła ludej brechływymi wistiami
Pisniamy sławyła bezumne hajdamaćtwo,
Klała kulturnykiw jak ludożerne panstwo.

O własnym swoim narodzie pisał:

Narode bez putia, bez czesti i powahy,
Bez prawdy u zawitach predkiw dykich,
Ty szczo postaw z bezumnoi odwahy
Hirkich pj'anyć, ta rozbiszak wełykich
— — — — — — — — —
— — — — —
O warware! Pokiń tryumfowaty,
Ta szczerwonij od soroma tiażkoho:
Szczo wsi suside znajut szczo nazwaty —
A ty swoim ne nazowesz niczoho
— — — — — — — — —
— — — — —
Ne łańciuchom sebe, brechneju wy skowały!
— — — — —

Chmielnicki sam o sobie mówił słowami Kulisza:

Robactwo z czerewa moho skriż rozpowzłosia
I na pohybel dwoch sławiańskich nacij
Wampiramy kriwawymi wziałosia.
Ja stawsia dżeretom ludżkoi złoby
Prosławłennym imiam światyw pekelnu zradu,
Nosyw Mazepu, Gontu, Puhacza w utrobi
Mutyw istorykam pidslipowatym prawdu

Chwali Katarzynę II za to, że:

Rozbojamy j ruinoju nesytu
Hadiuku za porohamy ty wbyła
I hołowu jechydno — jadowytu
Zaliznoju piatoju rozdawyła.

Ze stanowiska cywilizacyjnego „rozboje i ruina“, owo ciągłe wichrzenie, owo idealizowanie rozbójnictwa i próżniactwa, tylko wstręt sprawiać mogło.

Legenda ludowa o Chmielnickim zupełnie inaczej przedstawia sobie tego bohatera jak pijacka poezya kozacka. „Chmielnickij buw watażok, ataman hajdamakiw, win byw Lachiw i Żydiw“. Żadnego rysu szlachetnego

bohaterstwa nie pozostało po nim w pamięci ludowej.

„Win duże ne lubyw żydiw — opowiadają. Buło pytaje żyda: a czom ty jarmułki ne skidajesz? — Zakon — każe takyj, A koły zakon, to treba jei prybyty szczob wona ne spadała. Wiżme taj prybje gwozdykami. A to pytaje dalij: czohosz wy taki korotki sztany nosyte? A żydy każut': zakon takyj. A win i każe szkuru zakaczat' wid kistok do kolin".

Lud wiejski nie uważał wcale hajdamaków za rzekomych obrońców wolności, zbyt blizko stykał się z nimi, lecz za zwykłych drapieżników i zbójów. „Hajdamaki Lachiw i żydiw wiszały i rizały i hrabuwały bohatyriw, chtob' ne buw — czy pip czy mużyk". Takiemi też przedstawiali się według własnych zeznań w komisyi Kodniańskiej, która przeprowadziła krwawą rozprawę z hajdamakami.

Ażeby nasze zarzuty nie wydawały się gołosłownemi, przytoczymy kilka przykładów gospodarstwa watażków hajdamackich w okresie Koliszczyzny.

Typowym przykładem w jaki sposób odbywała się obrona „wolności i prawdy" przez hajdamaków, służy rabunek miasteczka Ihnatówki, w wojew. Kijowskiem. Gromadka obrońców zebrała się w monasterze, a wspólnie z monachem Łopacińskim urządzono sobie pijatykę ze strzelaniem na wiwat. Łopaciński okazał się równie gorliwym obrońcą wiary jak hajdamacy byli obrońcami wolności, umówił się przeto z nimi ażeby w czasie najbliższego jarmarku sprawić w miasteczku rzeź i rabunek. Pito na pomyślność w celach innych monachów także, aż w końcu furami pojechali wszyscy do miasteczka. W m. Białogrodzie, jako pogranicznem, stał posterunek rosyjski. Dano znać porucznikowi Larskiemu, że idą hajdamacy. IMć Pan Porucznik leżał pijany w łóżku. Nie ruszył się nawet z miejsca, wybełkotał tylko: „puskaj idut" — i poszli. W Ihnatówce zetknęli się z popem Białogrodzkim, który im udzielił błogosławieństwa „na szczęśliwy rabunek". Niewielka ale dobrana wataha obrońców wolności i prawdy, dobrze przysposobiona do tego, zjawiła się na jarmarku. Wywołało to popłoch. Ale popi uspokoili ludność tem, że „prawosławnym" nic się nie stanie. Zabrano się od razu do Żydów. Jakiś diaczek przeczytał ukaz, że żydów wolno rznąć i rozpoczęło się tak zwane „szukanie doli". Przedewszystkiem wytoczono z piwnic wszystkie beczki z wódką. Kto w Boga wierzył rzucił się do picia. Watażkował tej gromadzie Szwaczka. Mówią, że to nie był prawdziwy Szwaczka, ale rezultat był jednakowy — rzeź nie tylko w miasteczku, lecz w całej okolicy. Jeden z hajdamaków zabił polanem, leżące obok zamordowanej poprzednio matki — żydówki, spowite dziecko. Nie dość tego. Tem samem polanem począł bić już nieżyjącą matkę dziecka. Jakieś młode żydziątko uciekało, wlokąc za sobą wnętrzności i krzycząc: dobijcie mnie! Hajdamaka dębowym kołem uderzył w głowę dziecko „z litości" — jak powiada dokument — i zabił je na miejscu. „Było nie mało — pisze historyk rosyjski, także obrońca hajdamaków — takich zwierzęcych wypadków".

W rabunku brali udział nie tylko hajdamacy. IMć Pan Porucznik Larski wziął sobie ze sklepu żydowskiego „trzy pudy świeżego sadła". Moskale lubią tłusto jadać. W Paryżu w r. 1815 padły ofiarą amatorstwa żołnierzy wszystkie świece łojowe — ku wielkiemu zdziwieniu Francuzów. Popik Białogrodzki także „podpomógł się" — wziął sobie wielki kocioł gorzelany z rurami, naczynie ołowiane, lichtarze szabasowe, żydowskie „bogi", jedwabne śmiertelne koszule, a za udzielenie błogosławieństwa, hajdamacy ofiarowali mu dużo chleba „na cerkiew" i rubla, — ale jednego tylko. Kiedy w końcu złapano Szwaczkę, poeta ludowy zaręcza, że po nim „zasmutyłaś wsia Ukraina, jak soneczko w chmarci".

Bondarenko, „hultaj z całego świata rodem" — jak go charakteryzuje Komisya Kodniańska — hulał w Fastowszczyznie. W Hrużkem, skąd sam pochodził, zamieszkał w domu popa i bawił tam dni kilka, sposobiąc się do wystąpienia. „Gorzałka płynęła przez te dnie rzeką, z piwnic żydowskich i pańskich". Stąd poszedł do Byszowa. Tu tylko siedmiu żydów zamordował — więcej nie było i naśladując swego mistrza Żeleźniaka, powiesił na jednej szubienicy psa, żyda i szlachcica. Nie okazał się przewidującym jednak, bo dla siebie miejsca nie zostawił. To był wszakże początek tylko bohaterskich czynów. W podróży od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka, przybyli do Makarowa. Tu, przy samym wjeździe do miasteczka, spotkali żyda z żoną i trojgiem dzieci, którzy nie zdołali w czas umknąć. Zaraz tedy, na grobli, nie mieszkając długo, zamordowali żyda, i dwoje dzieci, trzeciemu, synowi, obiecali miłosierdzie, jeżeli zamorduje własną matkę. Żyd, jakoby dokonał tego. Bohaterstwo to tak się podobało Bondarence, że miał go ochrzcić i wziąść do swojej osoby „za chłopcia", czyli do usług, chyba według przysłowia ambo meliores, albo: jiden za wisimnadciat', a druhij bez dwóch dwadciat'. Pieśń ludowa śpiewa o nim:

Ne zachotiw Bondarenko na Wkraini żyty,
Da pryjichaw do Byszowa Żydiw, Lachiw byty.
Nie bahato win prostojaw na Byszíwskim mosti
Da pryjichaw do Hrużkoi do materi w hosti.

Pop miejscowy pobłogosławił go „na wse dobre" i razem bankietowali. Nie wyczerpuję bynajmniej przykładów i wypadków, gdyż są one tak wstrętne dzikością swoją, że szarpią nerwy najzdrowszego człowieka. Ojców tego pokolenia, które wychowało się na Palijach i Samusiach, opisał jeden z podróżnych, jadących z Moskwy do Jerozolimy, starowierca Łukjanow. „W Fastowie — powiada — jest wał ziemny, na oko nie zbyt mocny, ale mocny załogą. Ludzi tam siedzących możnaby porównać do zwierząt. W wale, otaczającem miasto, jest kilkoro bram, obok nich widać głębokie jamy i słomę tam rzuconą. Tu Palejowszczyzna lega na straży, po 20 po 30 — chłopów — wszyscy goli jak bębny żołnierskie, bez koszul, nadzy prawie, a samym wyglądem swoim straszni. Gdyśmy przyjechali i zatrzymali się na placu — a były tego dnia jakieś wesela u nich — obstąpili nas jak niedźwiedzie. Cała Palejowszczyzna od wesel odbiegła,

a do nas przyszła — wszystko to obszarpańce bez portek prawie, na niektórych nawet strzępka koszuli nie widać, straszni, czarni jak Arabowie, a złośliwi jak psy — wszystko z rąk wyrywają. Patrzą się tedy oni na nas z ciekawością, a my na nich z jeszcze większą, gdyż takich wisielców od urodzenia nie widywaliśmy. U nas w Moskwie i na Piotrowskim placu nie znajdziesz takiego ani jednego".

Zatrzymamy się jeszcze na zakończenie, nad wypadkami w Humaniu (1768), opisanymi przez naocznych świadków żydowskich. Oto co mówi taki świadek „o trzecim dniu w Humaniu": „Wszyscy mieszkańcy jego, Żydzi i Chrześcianie jęczą i płaczą, nawet cudzoziemcy, szukający tu bezpieczeństwa, padają pod nożami zbójów. Takiego płaczu, pełnego bolu i skarg, nikt od stworzenia świata nie słyszał. Tysiące żydów zamordowano, drobne dzieci, powiązane razem, rzucono na ulicę pod nogi końskie. W Humaniu była jedna dziewczyna niezwykłej piękności. Hajdamacy chcieli ją pozbawić czci, ale wierni zwyczajowi swemu, który im nie pozwala skalać siebie dotykaniem żydówki, zmuszali ją do przyjęcia chrztu. „Duszę moją — odpowiedziała im — oddaję Bogu, a z ciałem róbcie co chcecie". Wyostrzyli tedy nóż w jej oczach i rzekli: „widzisz ten nóż, jeśli nie będziesz nam posłuszną, potniemy ciebie na kawałki". Dziewczyna odpowiedziała z dumą: „podli i niechlujni ludzie! Wy nie macie dość siły zmusić mię do porzucenia wiary ojców moich; ale zabić mię i zrobić co chcecie — możecie". Związali ją tedy i rzucili do studni, gdzie śmierć znalazła.

„Wszyscy żydzi zamknęli się wewnątrz synagogi; hajdamacy, widząc to, rzucili się za nimi. Żydzi bronili się. Jeden z nich. Lejba, wychwycił nóż u zbója i zamordował 20 ich; inny Moses Maker, broniąc się, zabił ich 30. Wreszcie hajdamacy, widząc niemożność zdobycia synagogi, zatoczyli armaty i strzelać do niej poczęli. Tysiące żydów zginęło tam. Kobieta jedna, imieniem Brejla, lękając się, ażeby po jej śmierci dzieci nie zostały ochrzczone, sama je utopiła w rzece. Gonta, wstrętny barbarzyńca, niech będzie imię jego przeklęte, przybywszy do Humaniu, kazał obwieścić, ażeby bogaci Żydzi, którzy pragną uniknąć rzezi, natychmiast złożyli mu bogaty okup. Kupcy uwierzyli i znieśli, co kto miał, do ratusza. Gonta zabrał pieniądze a nieszczęsnych kazał wyrzucać przez okno. Humański predykator (Bał-dar-szał) z wieloma współwiercami ukrył się w głębokiej piwnicy i tam, modląc się, prosili Boga o miłosierdzie. Szczęście im niedopisało. Hajdamacy odszukali ich. Ucięli głowę najprzód Bał-darszałowi na progu piwnicy, a później tak samo wymordowali innych. Stąd udali się do domów modlitwy. Żydzi wynieśli stamtąd pięcioksiąg (sefer-torá) napełniając powietrze jękiem i płaczem. Ale to ich nie uratowało. Hajdamacy rzucili pod nogi święte pergaminy i wymordowali wszystkich. Krew przelewala się za próg synagogi. Nikt nigdy nie oglądał równie krwawego widowiska. Nieprzeliczone mnóstwo synów Izraela zakłóto jak stado owiec. Zbóje dusili nogami małe dzieci w oczach matek, żywe wbijano na ostrza pik i noszono z tryumfem po ulicach, święcąc zwycięstwo".

Bohaterami tej rzezi byli Gonta i Żeleźniak, a bohaterstwo ich znajdowało usprawiedliwienie w psychice ludowej.

> Maksym kozak Zelizniak z sławnoho Zaporoża,
> Proćwitaje na Wkraini jak w horodi roża.

W dziki sposób wydobywali się z „żydowskiej niewoli" — i nie wydobyli się, według swego mniemania.

W Galicyi, według Hołowackiego, poeci ludowi spiewali:

> Wyzwol że nas myłyj Bože ta z toi newoli
> Ta daj szcze raz zasijaty Kozackoi woli

tej samej „woli", za zgniecenie której dziękował Kulisz Katarzynie II., bo

> — — worohom dla krowopijciw ludu
> Buła jesy

Za zniszczenie Siczy, zburzenie tego ogniska barbarzyństwa, będzie wdzięczny, według Kulisza, Katarzynie II. —

> Kulturnyj mir do wiku i do sudu.

O Ludwiku hr. Pacu.

Urodził się na pograniczu Francyi i Niemiec, u progu doby nowej, w Strassburgu, 19. maja 1780 roku [1]). Od najwcześniejszej wszakże młodości inne, bardziej odległe, tak co do miejsca jak co do czasu, działały nań wpływy. Grała mu przeszłość hymnem, w stu pieśniach, o chwale jego rodu [2]).

Jako „zaczął się ten dom w Rzymie jeszcze przed przyjściem na świat Chrystusa Pana i był tam i przed i za Cicerona na przednich honorach". Jako później z tego pnia na florenckiej ziemi wywiedli się „zacni *comites* i różni wysocy tej Rzeczypospolitej senatorowie,

---

[1]) Joseph Straszewicz: Les Polonais et les Polonaises de la Révolution du 29 novembre 1830 (Paris 1832). (Jest tu życiorys Paca na podstawie jego własnych zapisek). Małachowski Stanisław hr.: Wspomnienie o jenerale Ludwiku hr. Pacu. — W stanie służby Paca podano odmiennie: Né le 19 mai 1779 à Strasbourg. Habitait la Lithuanie (Rembowski: ródła str. 571). (J. Falkowski): Wspomnienia z roku 1848 i 1849 przez autora — „Obrazów z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce (Poznań: Żupański, 1879) str. 216. Słownik geograficzny, Dowspuda, Rożanka. Żychliński: Złota księga, V, str. 204 — 14. F. de Daugnon: Gli Italiani in Polonia dal IX secola al XVIII (Crema, 1905) I str. 223 — 36. Herbarz polski Kaspra Niesieckiego (wyd. Bobrowicza, Lipsk 1841) t. VII str. 219 — 31.

[2]) Rękopis Bibl. im. Ossolińskich 542: „Parentela Jaśnie Wielmożnego y Prześwietnego Domu Ich M. M. Panów Paców w W. X. Ł. zebrana y wyjęta częścią z herbarzów, częścią z historyków rzymskich, W. X. Litewskiego, ruskich i innych, częścią z monumętów dawnych tak w Rzymie jako y na Litwie — anno Domini 1685". Dopisek: Florencya 1833. — Rękopis podaje krótką wiadomość o 101 członkach rodziny Paców aż do XIX w.

urzędnicy, hetmani". Jako „dwóch Paców wspomina historya wyprawy ...państw chrześcijańskich przeciw Turkom i saracenom, którzy na odebranie ziemi świętej albo Jeruzalem z Godefridem Bulloniuszem, xiążęciem Lotharyńskim, na potym królem Jerozolimskim, częścią woyska chrześcijańskiego mądrze y szczęśliwie rządzili, odważnie przeciw nieprzyjacielowi stawając".

A potem, jakby w szumie litewskich kniei, słyszał opowieść o dalszych dziejach „domu", który „tak dawny w W. X. Litewskiem jak W. Xięstwo Litewskie w imieniu i ugruntowaniu państw i sławy swojej dawne jest". Wszak Marcus Pacius, praprawnuk Varra, który „w W. X. Lit. swoją *inplantavit* familią", po przeniesieniu z Trok do Wilna stolicy, za panowania Xięcia Gedymina, r. 1322, był wojewodą trockim. Wszak o Pacach „wszystkich autorów kroniki twierdzą być najsławniejszą familią w Wielkiem X. Litewskiem". Jerzy Pac, wojewoda połocki, roku 1413 podpisał w Horodle „jeneralną konfederacyą i pierwszą unią pod Jagielonem, królem, a drugi, tegoż imienia, marszałek W. X. L. i starosta nowodródzki, „powtórną unią... z Koroną Polską podpisał r. 1499". Mikołaj na zjeździe wiedeńskim r. 1515 przybrał godność hrabiego świętego cesarstwa rzymskiego. Nad wszystkich zacniejszy Michał Kaźmierz, regimentarz W. X. Lit., za króle Jana Kaźmierza ojczyznę z potopu najazdu obcego ratował. „Wojownik czujny, dzielny, waleczny i odważny, cudownie szczęśliwy we wszystkich ekspedycyach swoich z Szwedami, z Moskwą, z Kozakami, z Tatarami, z Turkami pod Chocimem, Żurawnem, zawsze zwycięzca". „Że Żmudzi Szwedów swoją dzielnością i odwagą wypędził roku 1655 i 1656". „Trzema tysiącami swoich 18 Moskwy zniósł pod Witebskiem, ledwo ich czwarta część i coś nadto uszła". „On był powodem, okazyą, radą zniesienia i dobycia Turków w okopach chocimskich". „Jego męstwem, dzielnością, odwagą, szczęściem przestraszeni Turcy, nie śmieli naszych pod Żurawnem w okopach dobywać, gdzie *in universum* wojska naszego nie było nad 12,000, a *in medio* jego pan i głowa królewka, Jan III., zawarty i oblężeniem ściśniony, *cum summo totius Reipublicae periculo.........*" „Prawdziwy miłośnik i ojciec ojczyzny nigdy żadnemi podarkami, pieniędzmi, obietnicami postronnych ani domowych praktykantów nie dał się odwieść od miłości *et fidelitate* ku Rzeczypospolitej i dobru pospolitemu". Był kolejno wojewodą smoleńskim, hetmanem polnym W. X. L., kasztelanem wileńskim, aż mu „w r. 1666 na sejmie warszawskim hetmańswo W. X. L. i województwo wileńskie oddano przy dziękczynieniu J. K. Mci i całej Rzeczypospolitej, za odwagi, prace, szczerość a wierność ku ojczyźnie w ciężkich raziech". A choć skromnie grześć się kazał i napis ten położył: *Hic iacet peccator*, — to przecież od ubogiego „sklepiku" w podziemiach kościoła św. Piotra na Antokolu biła taka jasność, że ją w wiek później widział ostatni z Paców z dalekiej, obcej ziemi.

Miał też przykład służby publicznej w osobie stryja, Michała Paca, wielkiego marszałka konfederacyi Barskiej, który wygnany z Litwy przez zwycięskie wojska imperatorowej był w liczbie pierwszych tułaczy[1]).

Tak w tradycyi jak w formach kultury towarzyskiej najsilniejszy był wpływ tego stryja, który chociaż dość „czupurnej miny" charakteru był łagodnego, „a tak w obejściu się uprzejmy i słodki, iżby go było można do rany przyłożyć" i chociaż dość „niepozornej fizognomii, ale znakomicie uczony" [2]). Przy tej samej ogładzie, Ludwik Pac raczej do angielskich niż do francuskich zbliżał się wzorów [3]). W Anglii pozostawał długo, w okresie wielkiej rewolucyi, zaś w dobie pierwszego cesarstwa kształcił się we Francyi, ucząc się przedewszystkiem sztuki wojskowej. Miał też liczne i świetne stosunki i miał po temu podstawy.

Mimo wszystkie klęski, ojczyste i rodzinne, niezmierną jeszcze posiadał fortunę. Tak wprost przez ojca Michała, starostę sądowego koziańskiego i borwańskiego, kawalera orderu św. Stanisława, i matkę Ludwikę z Tyzenhauzów, jak w spadku po krewnych gasnącego rodu brał dobra w powiecie trockim, lidzkim i augustowskim, pałace w Wilnie i Warszawie [4]). I rozdziału w majątku wielkiego nie było, gdyż z dwu sióstr jedną, Konstancyę, utracił jeszcze dzieckiem. O koligacyach jego wiedziano nawet w tych odległych stronach. Bo i z kimże na Litwie nie był spowinowacony. Mięszali swą krew Pacowie z Radziwiłłami, Kobryńskimi, Chodkiewiczami i Brzostowskimi, z Ogińskimi, i Massalskimi, ze Stadnickimi i Hołowczyńskimi, z Orszańskimi i Koreckimi, z rodziną Zawiszów i Zybergów, Wołodkowiczów, Tyszkiewiczów i Sapiehów. Więc kiedy w r. 1808 zgłosił się jako ochotnik do sztabu marszałka Bessières, dowodzącego armią Pirenejów zachodnich, wiedziano odrazu, że z nim zyskuje polska polityka cesarza silne poparcie przez akces jednego z najwybitniejszych przedstawicieli arystokracyi dawnego W. Ks. Litewskiego. I tylko na tem tle ogólnej polityki Napoleona wobec Polski można zrozumieć, jak się to stać moglo, że z prostego ochotnika w pierwszej kampanii hiszpańskiej Pac urósł na jenerała dywizyi u wstępu r. 1814. (C. d. n.).

A. M. Skałkowski.

Wiadomości polityczne.

Przywileje niemieckie.

Sejmy czterech krajów koronnych niemieckich, (Salzburg, Przeduralania, Austrya G. i Austrya D.) uchwaliły ustawy o języku niemieckim w sejmach i autonomii, a nadto w Austryi Dolnej, posiadającej dosyć liczną ludność polską a bardzo liczną czeską, ustawę, o wyłącznie niemieckim języku w seminaryach nauczycielskich.

Słowo Polskie (z dnia 16. list.) wymyśliło, a *Czas* (z dnia 17. list.) za niem powtarza, ar-

---

[1]) Reszty rękopisów Macieja Rogowskiego, rotmistrza konfederacyi barskiej — poprzedzone przedmową i wydane przez Konstantego Gaszyńskiego (Paryż, 1847) str. 81: „Pac znajdował się także we Francyi, ale siedział w Sztrasburku nad samą granicą niemiecką".

[2]) Rogowski, str. 34, 41 — 4.

[3]) Małachowski 6, 7.

[4]) Ms. Oss. 542.

gumentacyę, przy której pomocy starają się przekonać społeczeństwo polskie o zupełnej słuszności i nieszkodliwości tej ustaw. Argumentacya ta nie jest w zgodzie z prawdą.

Wedle rozumowania tych pism ustawa uchwalona nie wprowadza właściwie żadnej zmiany. Bo i tak w Dolnej Austryi istnieją obecnie tylko seminarya niemieckie. A o ile chodzi o niedopuszczanie do szkół ludowych czeskich lub polskich (prywatnych z prawem publiczności) nauczycieli polskich lub czeskich to już od dawna istnieją w Dolnej Austryi przepisy ustaw krajowych „wedle których posady w dolno-austryackich szkołach ludowych z prawem publiczności mogą uzyskać tylko absolwenci seminaryów dolno-austryackich lub innych tak samo urządzonych“.

Czytając zatem *Słowo Polskie* i *Czas* miałoby się wrażenie, że naiwni Niemcy niepotrzebnie narobili dużo hałasu, uchwalając rzecz zbyteczną.

Ale tak nie jest. Jak dotąd, gdyby Niemcy robili trudności Polakom lub Czechom co do nauczycieli, mogli Polacy, a przedewszystkiem Czesi, założyć sobie prywatne seminaryum w Wiedniu, czeskie lub polskie. I Czesi zapewneby to zrobili, bo chodzi tu nie o dziesiątki ale o setki tysięcy ludności czeskiej. A istnienie takiej placówki słowiańskiej w Wiedniu nie mogło podobać się Niemcom. Nie mogli zatem robić trudności tym szkołom prywatnym. Teraz, gdy Niemcy zechcą robić trudności, ani Czesi ani Polacy nie mają żadnej zgoła możności obrony. A Niemcy właśnie chcą te trudności robić i w tym celu uchwalili nową ustawę. Bo dopiero w połączeniu z nową ustawą dawne przepisy nabierają siły i znaczenia nie do odbicia. W ten sposób, wbrew argumentacyi *Słowa Polskiego* i *Czasu*, ustawy te godzą bardzo dotkliwie właśnie w ludowe szkoły czeskie i polskie, bo odbierają im nauczycieli.

Drugi argument tych pism polega na tem, że przecież ostatecznie Niemcy są tam u siebie i mają prawo bronić niemieckiego charakteru tych krajów. Bardzo dobrze. Ale niestety ci sami Niemcy tam gdzie są mniejszością, i to nie taką poważną jak Czesi w Wiedniu, n. p. w Galicyi, zastrzegają sobie wszelkie prawa. To jest jaskrawe.

Wogóle trudno zrozumieć gorliwość *Słowa Polskiego* i *Czasu* w tej niezaszczytnej kampanii.

Być może, że pisma te powodują się obawą, iż nasza opinia publiczna mogłaby z niechęci do Niemców a ze współczucia ze Słowianami oświadczyć się raczej za karkołomną polityką p. Stapińskiego niż za rozważną polityką Koła Polskiego.

Ale politykę Koła Polskiego obroni się najlepiej mówiąc prawdę i to całą prawdę. Trzeba zatem przyznać, że te ustawy niemieckie są dla nas poważną szkodą, a dla Czechów ogromną klęską. Mimo to Koło Polskie nie mogło wpływać na odmówienie sankcyi, bo naruszyłoby przez to zasadę autonomii Sejmów, której zawsze broni. Natomiast my u siebie w Galicyi będziemy wiedzieli jak należy traktować żądania Niemców tutejszych oraz obietnicę założenia dla nich seminaryum utrakwistycznego, uczynioną im przez p. namiestnika.

Rektor politykujący.

Dobrze by było, gdyby po ostatnich wystąpieniach Rektora Politechniki lwowskiej, prof. Pawlewskiego, które wywołały wielkie wzburzenie wśród młodzieży i odbiły się w uchwałach wiecu ogólno-akademickiego z dnia 17. listopada b. r., dobrze by było, gdyby w Gronie Profesorów tej Szkoły powiedziano szczerze i jasno p. Rektorowi jak się ta sprawa przedstawia każdemu rozsądnemu człowiekowi.

Od kilku lat istnieje na politechnice tow. „ukraińskie“ „Osnowa“, którego członkowi brali żywy udział w napadach na Uniwersytet i w znanych aktach wandalizmu. Z opinią jaka panowała z tego powodu w polskich kołach miarodajnych o „Osnowie“ liczyli się widocznie także i jej kierownicy skoro nie próbowali nawet wypływać na oficyalną widownię politechniki od czasu owych osławionych „demonstracyi“ uniwersyteckich.

Dopiero w roku ostatnim, kiedy w umysłach zatarło się nieco wąpomnienie tych haniebnych czynów młodzieży „ukraińskiej“, a rektorem Politechniki został p. prof. Pawlewski, przywódcy „Osnowy“ postanowili urządzić inauguracyę demonstracyjną ze współudziałem całej lwowskiej hajdamaczyzny, a widownią jej uczynić aulę Politechniki. I tu okazało się, że Magnificencya ma znacznie więcej temperamentu niż taktu i poczucia odpowiedzialności.

P. Pawlewski nietylko udzielił auli na „inauguracyę“ co ze względu na znany charakter „Osnowy“ było niedopuszczalnym, ale i sam jako przedstawiciel Grona Profesorów powitał „Szanowną publiczność“, słowem postąpił tak, że najnieprzyzwoitszym punktem owej inauguracyi „Osnowy“ stało się przemówienie rektorskie. Oświadczył mianowicie borytelom, że tylko dla tego nie przemawia po rusku, gdyż nie umie. A Rektorowi nie wolno przemawiać, gdy występuje jako Rektor, inaczej, niż po polsku, bo Politechnika jest polska i ma język urzędowy polski. Zatem Magnificencya powiedział nierozumnie. A także szkodliwie, bo młodzieży ruskiej dał fałszywe pojęcie o prawach języka polskiego i ruskiego na Politechnice, a młodzież polską niepotrzebnie wzburzył.

Nadto na wieczorkach inauguracyjnych dwóch polskich stowarzyszeń młodzieży na Politechnice, mianowicie narodowej „Wzajemnej Pomocy“ i socyalistycznej „Bratniej Pomocy“ Magnificencya na młodzież narodową napadł, a z socyalistyczną się kumał. Prywatne poglądy prof. Pawlewskiego na ideały tych dwóch odłamów mogą być bardzo cenne, ale jako Rektor powinien był trzymać język za zębami, zachować bezstronność, a w każdym razie grzeczność. Było to tem bardziej pożądane, że sprawa L. S. Brzozowskiego, która spowodowała rozłam młodzieży, została i przez sąd na Politechnice, i przez całą opinię narodową oceniona niedwuznacznie, a dla socyalistycznych obrońców tego szczególnego działacza, przykro.

Tymczasem prof. Pawlewski w enuncyacyach rektorskich premiuje z pominięciem nawet właściwych granic „Bratnią Pomoc“, a w stosunku donarodowej „Wzajemnej Pomocy“ prze-

szkadzawy konywaniu tych uchwał Grona, które odpowiadają wymaganiom sprawiedliności.

Powinien tedy p. Rektor nakazać sobie powściągliwość, a zło, które zdziałał, jakoś naprawić. Inaczej Grono Profesorów nie będzie mogło brać Magnificencyi na swą odpowiedzialność. Bo Grono Profesorów nie jest związane partyjnie z prof. Pawlewskim, tak jak „Klub reformy w Radzie Miejskiej“ i nie będzie mogło, jak ten klub towarzyszy partyjnych wyrazić mu uznania, nawet wtedy, gdy go temperament poniesie a takt zawiedzie.

Z reakcyi rosyjskiej.

W maju b. r. mecenas A. Osuchowski i tow. wnieśli do warszawskiej „Komisyi gubernialnej dla spraw związków i stowarzyszeń“ podanie o zarejestrowanie ustawy nowej instytucyi pod nazwą „Tow. Oświatowe“ (na m. Warszawę i gub. warszawską). Komisya na ostatniem swem posiedzeniu, w tym tygodniu, odrzuciła podanie wszystkimi głosami osób urzędowych, wchodzących w jej skład, motywując odrzucenie tem, że nowa instytucya byłaby wznowieniem Macierzy Szkolnej, zamkniętej przez ministra spraw wewnętrznych. Trzej sędziowie gminni Polacy, wchodzący do Komisyi z wyboru, złożyli votum separatum i wnoszą protest do Senatu, wytaczając motywy następujące: 1. projektowana instytucya jest w zgodzie z najwyższym imiennym ukazem o związkach i stowarzyszeniach z d. 4. (17) marca 1906, gdyż §§ 4 i 6 tego prawa, zawierające zastrzeżenia, nie zawierają ich co do stowarzyszeń o celach oświatowych; 2. zamknięcie Macierzy Szkolnej dla pewnych powodów szczególnych nie może być uważane za powód do odrzucania nowych instytucyj zgodnych z ustawą; 3. jakieś przypuszczenia, że ta instytucya działać będzie nielegalnie, są pod względem prawnym niedopuszczalne; 4. kraj ma 75% analfabetów i wbrew twierdzeniom Komisyi, która jedyny środek zaradczy widzi w przyszłem stosowaniu prawa o przymusowem nauczaniu, potrzeba krajowi instytucyj oświatowych.

Lwowskie korespondencye Czasu.

Uderzające poglądy, jakie się znajdują w lwowskich korespondencyach *Czasu* już nieraz miały odgłos w prasie.

Pomijamy jesienne „Listy z Sejmu“, które oparte były na arcyprzejrzystym i wskutek tego arcykomicznym podziale Sejmu na miłych i niemiłych p. namiestnikowi, a usłużność posuwały tak daleko, że te właśnie „Listy“, jedyne w prasie polskiej, starały się uzasadnić, że p. namiestnik bardzo szczęśliwie się odezwał, kiedy z naciskiem podnosi, iż on dopiero uczy urzędników bezstronności i uprzejmości i że na tem polegają zmiany, które wprowadza po poprzedniku.

Ale wystarczy przejść n. p. tylko ostatni miesiąc, listopad, aby stwierdzić, że rzeczywiście, co korespondencya, to niespodzianka.

Czas nr. 250. (2. list. 1909), korespondencya o kongresie pedagogicznym: „Złośliwy mógłby nazwać kongresy pedagogiczne nie tylko u nas, ale i w wielu innych krajach, n. p. we Francyi, kongresami dezorganizacyi wychowania publicznego... Na dziś można tylko stwierdzić, że nasze towarzystwa oświatowe i nasze „kongresy pedagogiczne“ lubią wychodzić z poza ram technicznego rozwoju zawodu pedagogicznego i stają się areną dla popisów ludzi formułek i dyletantyzmu reformatorskiego, a jednocześnie stają się polem zapasów partyjno-politycznych...“ Zdawałoby się, że usiłowania bardzo poważnych ludzi i ludzi najlepszej woli, zasługują na jaką taką życzliwość. P. Marszałek, który przybył na otwarcie kongresu, p. wiceprezydent Rady szkolnej, który bardzo gorliwie przysłuchiwał się obradom nawet sekcyi i komisyi, dowiedzą się z korespondencyi tej, że w niedorzeczny sposób tracą czas na głupstwa. A co najbardzlej uderzające to to, że po tem potępieniu „zapasów partyjno-politycznych“ następują wstecznie polityczne koncepty o prof. Głąbińskim, o lidze narodowej, o wymianie mózgów i to nie *à propos* tego, że o nich mówiono, lecz *à propos* tego, że o nich nie mówiono, a tylko korespondent *Czasu* o nich myślał, słuchając przemówień. Potem wyszedł z mózgiem nabitym własną polityką i wyszydził zjazd.

Czas nr. 253. (5. list. 1909). Korespondencya o żądaniach Niemców galicyjskich: „Czy mamy stworzyć u nas te same warunki, które niebaczna i nieprzewidująca prasowa polemika narodowościowa wytworzyła w Królestwie, gdzie dawniejsze, nam przychylne szeregi ludności niemieckiej zwracają się teraz częściowo przeciw nam“. Jednem słowem, oskarżenie prasy polskiej, że to ona poczciwych Niemców prowokuje, co wywołało słuszną odpowiedź *Kuryera Warszawskiego*. A w dalszym ciągu apel, aby Niemcom w Galicyi w imię „sharmonizowania różnych interesów narodowościowych“ dać czego żądają.

Czas nr. 261. (15. list. 1909). Korespondencya o zajściach na Politechnice lwowskiej: „Secesya narodowo-demokratyczna na Politechnice we Lwowie musi żyć, więc musi od czasu do czasu dać przejaw swego życia niedwuznaczną manifestacyą“. Wiadomo, że secesya ta powstała z powodu aureoli, którą młodzież postępowa otoczyła p. L. S. Brzozowskiego; ale teraz dopiero widać po czyjej stronie są sympatye pisma krakowskiego, czy też jego korespondenta. A dalej: „Kto zna rektora Pawlewskiego, ten mógł przewidzieć jak będzie reagował na pogróżki; młodzież atoli, która sama uzbroiła swego rektora w stanowczość, w zacietrzewieniu swem nie umiała z godnością ustąpić“. Stanowisko zaiste wzruszające: że rektor traci równowagę, to rzecz zrozumiała, ale żeby też sędziwa i poważna młodzież nie umiała ustąpić! W dodatku fakty same przedstawione są czytelnikowi *Czasu* fałszywie, bo z pominięciem najbardziej rażących wystąpień rektora.

Czas nr. 266. (20. list. 1909). Korespondencya o odmówieniu przez lwowską Radę miejską subwencyi dla syonistycznego Tow. rygoryzantów: „Z wielkich mężów stanu ostatniego stulecia jedynie Bismarck lubił przeciwstawiać mściwy kułak szczodrej ręce, ale w Pomeranii inna już jest tradycya“. Towarzystwo to było i jest gniazdem, w którem rządzą najzacieklejsi agitatorzy syonistyczni, dyszący nienawiścią do Polski; a oto zarzut bismarkowskiej polityki.

A wszystko to na łamach... *Czasu.*

U przełomu.

Akt przyłączenia Bośni i Hercogowiny spowodował w głowach wielu polityków zachodnio-europejskich zasadniczą zmianę sądów o przyszłości Monarchii austryacko węgierskiej. Zwłaszcza we Francyi (pod wpływem informacyi Rosyi i od przedstawicieli ludów południowo-słowiańskich) przyzwyczajono się pisać o agonii państwa i dynastyi habsburskiej. Kres życia obecnego władcy miał być końcem istnienia związku krajów tak sztucznie ugrupowanych około naddunajskiej stolicy. Ostatnie przesilenie pokazało, że austryacka dyplomacya skłania się ku polityce czynnej, że rozporządza sprawną armią, że może liczyć na pewne poparcie u ludów, dla których istnienie tego państwa jest rękojmią rozwoju narodowego. Odezwy, wzywające w okresie wojennego przesilenia wszystkie ludy słowiańskie do łączności z Serbią i Rosyą, pozostały bez żadnego echa. Przerzucając się teraz w drugą ostateczność, prasa europejska poczęła mówić o odmłodzeniu Austryi, o jej wielkiej mocarstwowej przyszłości. P. Jakób Daugny w *La nouvelle revue* (z 15. listopada) w artykule „L' Autriche, la Hongrie, et le trialisme“ konstatuje ten wzrost Monarchii naddunajskiej, ale zastanawia się także nad wewnętrzną rozterką, wywołaną głównie przez niepomierne żądania Węgrów, zmierzających wprost do uzyskania niepodległości państwowej. Temu zapobiedz możnaby nadając grupie ludów południowo-słowiańskich tę samą autonomię, co Węgrom. Takie rozwikłanie sytuacyi byłoby możliwe przy nadaniu konstytucyi Bośni i Hercogowinie. Takie postawienie kwestyi może być sympatyczne jako zbliżające się do idei federacyjnel, nie dość jednak liczy się z niezbyt wielkiem przygotowaniem tych ludów do rządów samoistnych. Artykuł zdaje się być inspirowany przez koła interesowane.

Przegląd prasy.

Z powodu aresztowania moskalofilskiego studenta Dobriańskiego pod zarzutem szpiegostwa, *Diło* ogłosiło artykuł, którego myśl główna znajduje się w zdaniu: „kiedy nasza młodzież wychowana w duchowym nastroju ukraińskim.... wydała ze siebie Siczyńskiego, to młodzież moskalofilska.... składała ofiary na ołtarzu szpiegostwa „rosyjskiego“, p. t. „Między szpiegostwem a morderstwem“ zamieścił o tem wystąpieniu organu ukraińskiego następujące uwagi *Czas* (nr. 265 z d. 19. listopada 1909:

Myśl takiego przeciwstawienia mordu — szpiegostwu mogła się tylko zrodzić w głowie demagogów, wyzyskujących aż nadto nieraz bezkarną swobodę prasy, by do środków obrony języka ojczystego zaliczać targnięcie się na życie obrońców idei porządku, a za wzór dla młodzieży stawiać zbrodniarza. W takiej atmosferze żyje *Diło*, że gdy chce wyzyskać fakt, świadczący o tem, do czego może dojść sfanatyzowana agitacya, prowadzona przez demagogów z obozu staroruskiego, nie może już przybrać innej roli, jak popularyzatora zbrodni, tylko według innego paragrafu kodeksu karnego.... Niechaj jednak przyjaciele *Diła* się nie zdziwią, jeżeli polskie stronnictwa, które wskazywały zawsze na fatalne wyniki, do jakich doprowadzić musi demagogia starorusinów, zechcą obronić kraj a i naród ruski kraj ten zamieszkujący, od niepowołanych wychowawców w konfliktach z prawem i w gloryfikacyi morderstwa.

Wydawca: **Dr. Adam Skałkowski.**
Odpowiedzialny redaktor: **Dr. Józef Browiński.**

Redakcya i Administracya: Lwów, ul. Sykstuska 46, ekspedycya ul. Murarska l. 11.

Drukarnia Ludowa we Lwowie, plac Bernardyński 7.